

„Dobrze było walczyć za Polskę!”

„Cały świat mamy przeciwko sobie” – pisał Stanisław Piłsudski w raporcie dla Józefa Piłsudskiego, po podróży po państwach Europy Zachodniej, przekazanym w końcu czerwca 1920 roku. Podczas swej kilkutygodniowej wyprawy odwiedził kilka stolic i wrócił z obserwacjami nie dającymi żadnych nadziei w przededniu decydujących zmagania na wschodzie.

Posner podkreślał, że nawet ci, którzy byli po stronie Polski, jak prezydent Francji Alexandre Millerand zapewniający o swoim poparciu dla Warszawy w sporze z Czechami „jest po ich stronie, a w innych kwestiach podda się zawsze opinii Anglii, bo od niej zależy, jako od wierzytelki. Cóż mówić o innych? Sprawa odszkodowań, sprawa Gdańska, sprawa plebiscytów – stoją gorzej niż źle”. Kolejne tygodnie potwierdziły te obserwacje. Nawet wśród niedawnych sympatyków sprawy polskiej nie zabrakło obojętnych patrzących na naszą walkę z bolszewizmem, zainteresowanych co najwyżej wyszarpaniem jak najwięcej dla siebie. Rok 1920 to nie tylko zmagania z bolszewizmem, ale zderzenie się z obojętnością i niechęcią na Zachodzie. Tym bardziej cenną okazała się pomoc tych, którzy nam jej udzielili w tym dramatycznym momencie.

PONURA ROLA LLOYDA GEORGA

Upokarzające warunki pokojowe narzucone na konferencji w Spa na początku lipca 1920 roku faktycznie pozbawiły Polskę niepodległości. Szczęśliwie zostały odrzucone przez bolszewików. „Ponurą rolę odegrał w Spa premier brytyjski, awansowany w opinii świata na męża stanu, prowincjonalny adwokat z Walii, Lloyd George, uprzędy do Polaków i jawnie trzymający stronę bolszewików” – oceniał Mieczysław Jaluwicki, przedstawiciel Rządu RP w Gdańsku. Pracując u boku sir Reginalda Towera Wysokiego Komisarza Ligi Narodów w Gdańsku doświadczał każdego dnia brytyjskiej niechęci i nie miał złudzeń wobec londyńskiej dyplomacji. Gdy zbolszewizowani Niemcy dokerzy odmówili wyładunku statków z bronią dla Polski (m.in. najgroźniejsza sprawa statku „Tryton”), Tower nie kwapił się z wyegzekwowaniem polskich praw do rozładunku, wykorzystując angielski garnizon i żołnierzy francuskich stacjonujących w mieście. Wyjątkiem były takie głosy jak brytyjskiego ambasadora w Warszawie sir Horacego Rumbolda depeszuje do Londynu: „Kiedy mamy do czynienia z Polakami, trzeba zawsze pamiętać, że nie są nowym narodem i nie uważają się za taki. Są świadomi istotnej roli, jaką Polska odgrywała w przeszłości [...], są dumni i bardzo wrażliwi”. Nie takie jednak poglądy dominowały w brytyjskim Foreign Office.

Premier Wielkiej Brytanii był gotowy na duże ustępstwa wobec bolszewików w Europie Środkowej – nawet oddania im Polski, czyli pozbawienia nas niepodległości – za zabezpieczenie swych interesów. Wielka Brytania, po wycofaniu się Stanów Zjednoczonych i osłabieniu wojny Francji, była w tym czasie państwem o decydującym głosie w Europie. Wieki kolonialnej polityki, gdy w Londynie decydowano o losie całych narodów odległych o tysiące kilometrów, nigdy nie pytając ich o zdanie, nawet nie dopuszczając myśli, że mogą je mieć, pozostawiły swój spadek. Nie brakowało więc i takich, którzy w ten sposób patrzyli na Polskę – państwo leżące gdzieś na wschodzie i jeszcze nieszczerliwie między Niemcami i Rosją, z którym są tylko problemy, a więc może lepiej, żeby ten kłopot zostawić jej sąsiadom, a oni zapewnią „porządek”.

Mimo wielu apeli, mocarstwa nie zgodziły się na przesunięcie o rok terminu plebiscytu na Powiślu, Warmii i Mazurach. Przeprowadzony 11 lipca 1920 roku w skrajnie niekorzystnych dla Polski warunkach został dramatycznie przegrany. Nazajutrz bolszewicy zawarli układ z Litwą oddając jej Suwalszczyznę i Wilno, które sami zajęli kilka dni później. Do upokorzeń jakie zafundowano Polsce na konferencji w Spa, dołożono kilkanaście dni później decyzję Rady Ambasadorów o wycofaniu się z plebiscytu na Śląsku Cieszyńskim, Spiszu oraz Orawie i arbitralnym przekazaniu Czechosłowacji, nie tylko w większości polskich powiatów, ale także całego zagłębia węglowego z Karwiną, koleją koszycko-bogumińską i hutniczym regionem Trzyczna.

Późnym latem 1920 roku korespondent wojenny Adam Grzymała-Siedlecki notował: „Nikomu nie było tajne, że Niemcy oczekują niecierpliwie wzięcia Warszawy. [...] Okólni sąsiedzi nasi już przygotowywali nowe rozbiory. O końcu państwowości polskiej mówili się, jako o rzeczy nieubлагanie koniecznej. Czy inaczej rzecz stawiano w gabinetach Ententy? Polityka Anglii, neutralność Włoch, stanowisko gabinetu belgijskiego w sprawie przewozu broni do Polski aż nadto wyraźnie dawały nam do zrozumienia, że jesteśmy bankrutem, któremu pomagać byłoby rzeczą niepraktyczną i – kto wie – może nawet szkodliwą”.

VIVE LA FRANCE

Tym większą wagę miały działania tych, którzy Polskę nie zostawili samej w zmaganiach z bolszewikami. Już sama obecność około 700 francuskich oficerów dodawała otuchy. Jeden z nich Charles de Gaulle, wspominał: „A przede wszystkim, czując spojrzenia na ulicy, które biegają za moim mundurem. Jakaś starsza pani zaczepia mnie, mówiąc: – Dopóki Francuzi są tutaj możemy mieć nadzieję. Ale nie wyjeżdżajcie. – Nie, nie wyjeżdżamy”. Te powszechne profrancuskie sympatie skutecznie były ochładzane na terenach plebiscytowych, gdzie ich mieszkający mogli bezpośrednio zetknąć się z działalnością takich osób jak stojący na czele Międzynarodowego Komisarjatu Plebiscytowego Gustaw de Manneville. Nawet nie ukrywał braku bezstronności, na podległym mu terenie wspierając stronę czeską. Z pewnością był francuskim patriotą. Wymiernie odczuł to kapitał pochodzący z jego ojczyzny, choćby wielki konsern Schneider-Creusot w hucie w Trzycznie.

Polska w tym czasie potrzebowała każdej pomocy, finansowej, żywnościowej, medycznej... W 1920 roku z USA otrzymaliśmy 200 tys. ton mąki z zapewnieniem o podwojeniu tej wielkości. W latach 1918-1920 Polska zaciągnęła 271,9 mln dolarów kredytów. 65 proc. tej sumy pochodziło właśnie z USA, 22 proc. z Francji, 6 proc. z Wielkiej Brytanii. Były one uzyskane na bardzo korzystnych warunkach i nie stanowiły poważnego zagrożenia dla budżetu.

POD SZTANDAREM ORŁA BIAŁEGO

Humanitarną pomoc zza oceanu przekazywał do Polski American Relief Administration (Amerykański Wydział Ratowny) powołany przez Kongres USA i kierowany przez Herberta Hoovera, zajmujący się pomocą dla ponad 20 państw w zniszczonej wojną Europie. Polska otrzymała 20 proc. funduszy ARA, czyli 200 mln dolarów w latach 1919-1921 (ponad 4 mld współczesnych dolarów). Wydział koordynował również akcje innych instytucji o podobnym charakterze m.in. Amerykańskiego Czerwonego Krzyża czy Stowarzyszenia Młodzieży Chrześcijańskiej (YMCA). Tylko w ciągu dwóch miesięcy – do początku czerwca 1920 roku, w Gdańsku wylądowało blisko 10 tysięcy ton żywności przeznaczonej dla dzieci. Ostatnie transporty zostały skierowane na wygłodzoną bolszewickimi rządami Ukrainę. Z kolei więcej niż połowa funduszy przeznaczonych dla Europy przez Amerykański Czerwony Krzyż (ACK) trafiła do Polski. Jego pracownicy organizowali kursy dla pielęgniarzek, opiekowali się sierotami, dostarczali papierosy i maszyny do szycia dla szwalni szyjących bieliznę dla żołnierzy. Dzięki amerykańskiemu darom zmalała śmiertelność najmłodszych, a 1,3 miliona dzieci otrzymywało codziennie posiłek, 700 tys. dostało kompletne ubrania, a wszystko w ramach darmowej ofiary. 4 lipca 1920 roku Senat Uniwersytetu Warszawskiego, na wniosek Wydziału Prawa i Nauk Politycznych uchwałił jednomyślnie nadać honorowy stopień doktora praw Woodrowi Wilsonowi oraz Herbertowi Hooverowi, „twórcy wielkiego dzieła humanitarnego, dostojnemu opiekunowi i żywicielowi młodzieży polskiej”.

Sympatia narodu amerykańskiego do Polski nierzadko miała swe źródła w końcu XVIII wieku, o czym świadczył patron amerykańskiej 7 Eskadry Myśliwskiej – Tadeusz Kościuszko. Jej twórca kapitan Merian C. Cooper, którego prapradziad walczył w bitwie pod Savannah jako podwładny Pułaskiego, namówił spotkanego w Paryżu gen. Tadeusza Rozwadowskiego, szefa Polskiej Misji Wojskowej, do stworzenia lotniczej eskadry wspierającej Polskę, w co zaangażował się również major Cederic Faunt-le-Roya. Od grudnia 1919 roku latał już w barwach 7 Eskadry Myśliwskiej im. Tadeusza Kościuszki, a wkrótce dołączyli do nich kolejni amerykańscy piloci, aby wziąć udział w zmaganiach z bolszewikami. Przyjęte przez eskadrę godło, zaprojektowane przez porucznika Elliotta W. Chessa z Teksasu, stało się jednym z najsłynniejszych polskich znaków lotniczych (m.in. Dywizjon 303, używane do dzisiaj). Ze względu na brak jeszcze polskiego personelu, eskadra licząca niespełna dwudziestu pilotów, z których co najmniej połowa węgierska, odegrała zauważalną rolę. Ocaleni członkowie eskadry zostali przyjęci i odznaczeni przez marszałka Piłsudskiego, który wniósł za nich toast „Cześć Wam, Amerykańscy piloci!”. Udekorował ich również gen. Józef Haller. Płk Cederic Faunt-le-Roy z Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych wrócił do Stanów Zjednoczonych, gdzie spisał wspomnienia „jak fruwał pod sztandarem Orła Białego”, zakończone zdaniem, pod którym, jak podkreślił podpisał się każdy z jego pilotów: „Dobrze było walczyć za Polskę!”.

Z BUDAPESTU I KIJOWA

W najdramatyczniejszym momencie zmagania 1920 roku z pomocą Polakom przyszedł naród węgierski. Budapeszt zaproponował wysłanie 140-tysięcznego korpusu, ale na jego przejazd nie zgodzili się Czesi, podobnie jak blokowali dostawy amunicji. Polska pozbawiona fabryk broni po odzyskaniu niepodległości otrzymywała ją m.in. z zakładów zbrojeniowych na wyspie Csepel: w 1919 roku – 20 milionów naboju karabinowych i 20 tys. pocisków artyleryjskich oraz kuchnie polowe. Na początku 1920 ustalono kolejne dostawy. W lipcu rząd węgierski ogłosił, iż przeznacza i rezerwuje dla Polski wszystkie zapasy broni i amunicji z Csepel. Docierają one przez Rumunię, aby ominąć Czechosłowację i były konwojowane przez węgierskich żołnierzy. W najbardziej dramatycznym momencie ostatni transport dotarł do Skiermiewic 12 sierpnia i był od razu rozładowywany na front. Węgry zgodziły się także przesłać nam 100 wagonów francuskiego sprzętu wojskowego. Pod koniec lipca szef MSZ w Warszawie minister Eustachy Sapieha sondował możliwość otrzymania węgierskiej pomocy w postaci 20-30-tysięcy kawalerii. Rozważano nawet wysłanie samych żołnierzy i uzbrojenie ich dopiero w Polsce. Nie zgodziła się Czechosłowacja, ale też szczęśliwie sytuacja na froncie uległa poprawie po polskiej kontrofensywie.

Do Kijowa razem z polskimi żołnierzami wkroczyła jednostka ukraińskiej Republiki Ludowej atamana Symona Petlury, co stanowiło realizację podpisanego pod koniec kwietnia 1920 roku, układu polsko-ukraińskiego. Do przedstawicieli narodu Ukrainy mówił marszałek Piłsudski w Winnicy, na dzień przed triumfalnym powrotem do Warszawy: „W imieniu Polski wznoszę okrzyk: Niech żyje wolna Ukraina”. Został on jednak podchwycyony przez garstkę Ukraińców – w maju ich wojska walczące u naszego boku liczyły niespełna 7 tysięcy, a w końcu sierpnia 1920 roku wzrosły do 20 tysięcy żołnierzy. Było to jednak o wiele za mało, aby uratować Ukrainę przed bolszewizmem, za co już wkrótce zapłaciła milionami ofiar Wielkiego Głodu. Bierność Ukraińców stała się poważnym ciosem dla federacyjnych pomysłów Piłsudskiego, który zamierzał podjąć współpracę z częścią antybolszewickiej emigracji rosyjskiej akceptującej istnienie niepodległej Polski.

STRZELAJĄC DO POLAKÓW, STRZELACIE W SERCA WŁASNEJ WOLNOŚCI

W walce z Sowietami wsparli Polaków także wolni Rosjanie. „Żołnierze rosyjscy! Nie ‘czerwoni’, jak zowią was wasi kaci, żołnierze rosyjscy, synowie ludu rosyjskiego, oszukani i opanowani przemocą, zrzućcie jarzmo. Pamiętajcie: strzelając do Polaków, strzelacie nie tylko do braci, strzelacie w serce waszej macierzy ojczyzny, ziemi waszej, i w serca własnej wolności” – wzywała odezwa Do ludu rosyjskiego opublikowana latem 1920 roku i podpisana m.in. przez działacza



Zwycięstwo w wojnie polsko-bolszewickiej uratowało naszą niepodległość i wniosło pamięć o niej w czasach, gdy zostaliśmy jej pozbawieni przez sąsiednie totalitarne potęgi. W decydującym momencie zmagania w 1920 roku o obrony stanęła nie tylko armia, ale także znaczna część narodu. Na zwycięstwo pracowały setki tysięcy, a nawet miliony naszych rodaków, choć na kartach historii znalazło się miejsce dla niewielu.

Pamięć narodu jest sumą pamięci lokalnych, nie chcemy utracić żadnej z nich. Instytut Pamięci Narodowej – właśnie wokół nich – ogniskuje swą aktywność z przekonaniem, że tak budowana tożsamość jest nie tylko trwałą, ale i potrzebną. Obchody setnej rocznicy odzyskania niepodległości rozpoczęliśmy w grudniu 2017 roku w niewielkiej Stróży pod Limanową – miejscu Oficerskiej Szkoły Strzeleckiej, wybuch pierwszej powstania śląskiego obchodziliśmy w czeskich Pietrowicach Wielkich, a rocznicę plebiscytu na Powiślu, Warmii i Mazurach w Lubstynku.

Nawiązując do setnej rocznicy zwycięskiej wojny z bolszewikami przypominamy wielki zryw i powstanie ponad stu tysięcy Armii Ochotniczej – od Sosnowca po Suwałki, od Zblewa po Sędziszów Małopolski. W ciągu tygodnia w lipcu 1920 zgłosiło się do wojska ponad 30 tysięcy ludzi reprezentujących wszystkie grupy społeczne: gimnazjalistów, studentów, rzemieślników, robotników. Do walki rwały się nawet kobiety i dzieci. W wielu miejscach w Polsce pojawiły się już kamienne tablice ufundowane przez IPN przypominające tę ogólnonarodową mobilizację 1920 roku.

Wiek XX przyniósł nam jeszcze jedno zwycięstwo nad komunizmem – Sierpień'80, z którego wyrasta współczesna niepodległość. Latem 1980 roku to setki strajkujących zakładów pracy, tyleż samo historii. Nie chcemy zapomnieć o żadnej z nich. Dlatego powstała wystawa „Tu rodziła się „Solidarność””. W 51 miejscach od Stargardu po Świdnik, od Lęborka po Nowy Sącz, od Mrągowa po Nową Sól pokazujemy ten wolnościowy duch. Wszystkie wystawy staną 28 sierpnia na placu marszałka Józefa Piłsudskiego obok papieskiego krzyża, w miejscu, gdzie Jan Paweł II wypowiedział słynne słowa „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze Ziemi, Tej Ziemi”, a „Solidarność” była ich wypełnieniem.

Wojna polsko-bolszewicka i powstanie „Solidarność” były wydarzeniami wyprzedzającymi polskie doświadczenie, ponieważ wpłynęły na kształt Europy. Zadajmy sobie pytanie, jak wyglądałby Berlin, Praga, Budapeszt, Paryż, gdyby wtedy, w 1920 roku Polacy ulegli, gdyby bolszewikom udało się poprzez „trupa Polski” dotrzeć do rewolucyjnych Niemiec i rozpętać pożar „ogólnoswiatowej rewolucji”. Dzisiaj nie do końca sobie to uświadamiamy. **Wojna 1920 roku była zderzeniem cywilizacji – „Wojną światów”.** Pod takim tytułem Instytut Pamięci Narodowej przygotował wystawę, a „Rzeczpospolita” objęła nad nią patronat. Serdecznie zapraszamy.

Wojnę polsko-bolszewicką symbolizuje grafika wybitnego artysty Jakuba Różalskiego, twórcy projektu 1920+, który działa na wyobraźnię wielu młodych ludzi.

czy Rosyjskiego Komitetu Politycznego w Warszawie Borysa Sawinkowa, Dmitrija Mereżkowskiego, Dmitrija Filosofowa, Fiodora Rodiczewa, Zinaidę Hippus. Komitet otrzymał jako swą siedzibę Hotel Brühlowski, gdzie wydawano gazetę „Za Swobodę”. W lipcu zawiązało się także w Warszawie koło polsko-rosyjskie „mające na celu nawiązanie bliższej łączności w duchu pojednawczym pomiędzy Polakami a Rosjanami”. Po tym organizacja rosyjskich oddziałów wojskowych odbywała się szybko i dość sprawnie, ale nie okazały się one zbyt liczne. „Młode ochotnicze formacje rosyjskie, słabo uzbrojone i zaopatrzone z demobilu po okupantach, już jako pułki i nawet dywizje szykowały się w miejscach koncentracji do wystąpienia obok polskich sił zbrojnych. Te polskie siły zbrojne, również źle uzbrojone, z największym zapaściem opierały się masom czerwonych wojsk. Cały polski wschód już płonął pożogą i ział zniszczeniem” – zauważał Kazimierz Wędziagowski. Już od wiosny walczył słynny oddział generała Stanisława Bułak-Bałachowicza, który po Bitwie Warszawskiej podporządkował się Rosyjskiemu Komitetowi Politycznemu i przyjął nazwę Odrębnej Armii Sprzymierzonych. Blisko połowę jej żołnierzy stanowili Rosjanie, po około

1/4 Ukraińcy i Białorusini, mniej niż 10 proc. było Polaków, a ponadto Łotysze, Finowie i Szwedzi. O swym uwielbianym dowódcy śpiewali: „Bałachowicz-Bułak, Ataman nasz lichy! Tolko słowo skażi, My pojdiom za tobą”. I szli niezwykłe, a sam „ataman” pochodzący z Wileńszczyzny, z katolickiej, mówiący po polsku rodziny tłumaczył: „Jeśli nie byłoby poprawną polszczyzną wysłowie się, proszę mi to darować. Matki bowiem nasze, tam na dalekich kresach najpierw uczyły nas Polskę kochać, a potem już prawidłowo po polsku mówić”. Po zwycięskiej wojnie pisał: „Morze krwi wylanej za wolność tego kraju jest zbyt wielkim skarbem, żeby obcy-wrogowie pieniędzy lub nasza głupota miały go zmarować. My musimy naszą rolę w historii Polski wygrać do końca, musimy następnym pokoleniom pozostawić Polskę silną, zdrową i groźną. Już czas najwyższy jąć się twórczej pracy, która zniszczy rozwielmożony wpływ obcych agencur, co jest nieodzownym warunkiem mocarstwowej potęgi Polski oraz spełnienia Jej wielkiego zadania w rodzinie potężnych narodów”.

—dr Jarosław Szarek
Prezes Instytutu Pamięci Narodowej